

CZTERY HEKTARY NIEBA

313

1-go września 1939 roku nad naszym domem "gajówką" z zachodu w kierunku Chyrowa, Borysławia, Drohobycza i Lwowa przeleciały eskadry niemieckich samolotów. Odgłosy wybuchów bomb zrzuconych na węzłową stację kolejową w Chyrowie słyszalne były bardzo dobrze w Starzawie a następnie widoczne obłoki dymów od wzniesionych pożarów. Bombardowanie nie ominęło również dworca kolejowego w Starzawie. Na szczęście bomby spadły obok w pobliżu dworca.

Po bombardowaniu pobiegłem w kierunku dworca gdzie wybuchły bomby. W odległości około 100 metrów od dworca jedna z bomb spowodowała śmierć nieznanego mi mężczyzny. Widok był okropny. Ciało jego było rozszarpane odłamkami bomby i zalane krwią. Widok ten spowodował u mnie 13-to letniego chłopca ogromne przerażenie, strach i niewiedzę co w tej chwili mogę zrobić.

Kolejne dni wojny przynosiły coraz więcej oznak zbliżającego się bezpośredniego zagrożenia ze strony wojsk niemieckich. Niedaleko za stacją kolejową oglądałem zbombardowany transport kolejowy z różnego rodzaju sprzętem i wyposażeniem wojskowym i okoliczną ludność robierającą zbombardowane mienie nie mające już gospodarza i ochrony.

Przegrupowujące się oddziały wojskowe sprawiały widok dość smutny, bez oznak dzielności. A może nie znając się wówczas na wojsku takie miałem chłopięce wyobrażenie.

Ojciec mój Piotr Opałka był zatrudniony jako gajowy w Nadleśnictwie lasów państwowych w Starzawie, które polegało dyrekcji okręgowej we Lwowie.

Kilka dni przed wkroczeniem wojsk niemieckich z polecenia Nadleśnictwa, ojciec swoim koniem i wozem saładował część dokumentów Nadleśnictwa zapakowanych w kilka skrzyń, zabrał mnie i młodszą moją siostrę Stefanię i wyruszył w drogę nieznaną w ogólnym kierunku Chyrów, Drohobycz i dalej w stronę Stryja. Jechaliśmy w tłumie uciekinierów, ludzi nie zorganizowanych, uciekających przed zbliżającymi się wojskami niemieckimi.

Ta masa ludzi blokowała drogi uniemożliwiając swobodne bezkolizyjne przegrupowywanie się oddziałów wojska polskiego. Przejeżdżając przez Chyrów oglądałem zburzony dworzec kolejowy, rozbite wagony i trwożnie biegających ludzi którzy usuwali gruz z drogi i torów kolejowych. Drohobycz natomiast płonął. Paliły się zbiorniki paliw, instalacje rafineryjne i miasto.

Nasza ucieczka nie sprawiała przygody. Męczył się kań ciągnąc załadowany wóz, tłok ludzi i wozów konnych oraz pojedynczych samochodów na drogach sprawiał duże trudności w przemieszczaniu się. Nocami dochodziły kolumny wojska ze sprzętem bojowym a w dzień dodatkowy strach przed nalotami lotnictwa niemieckiego.

W takiej sytuacji po kilku dniach dojechaliśmy do miejscowości Dolina niedaleko Stryja. Zatrzymaliśmy się na uboczu tego miasteczka w leśniczówce. Tam dowiedzieliśmy się, że wojska radzieckie przekroczyły wschodnią granicę Polski i przesuują się w kierunku zachodnim na spotkanie z Niemcami.

Nie była to wiadomość powodująca radość u dorosłych ludzi w leśniczówce i u ojca. Dla nas dzieci było to coś nowego i poza ciekawością niczego nie powodowało. W mieście gdy byliśmy po zakupy widać było zdenerwowanie ludzi, wykupowanie towarów żywnościowych, tytoniu i papierosów oraz nafty. Po dwóch dniach w nocy wojska radzieckie wkroczyły do miasteczka. Rano z leśniczego synem pobiegłem zobaczyć jak to wojsko wygląda. Na polach w pobliżu miasteczka stała duża ilość czołgów, samochodów z działami artyleryjskimi, motocykle i inny sprzęt. Wokół tego sprzętu było sporo żołnierzy. Szare zakurzone mundury, brudni i jak na moje młodzieńcze wyobrażenie nie przedstawiali zachwycającego widoku.

W miejscowości Dolina znaleźliśmy się w bardzo nie ciekawej sytuacji. W prawdzie zdążyliśmy uciec przed wojskami niemieckimi i nie było okazji ich zobaczyć. Widziałem tylko w akcji niemieckie lotnictwo atakujące obiekty państwowe i bezbronną ludność cywilną uciekającą drogami i szosami. W jednym z takich ataków i my mogliśmy stracić życie. Bomba spadła i wybuchła niedaleko naszego wozu a odłamki pucinały kilka gałęzi przy której zatrzymaliśmy się szukając schronienia.

Na przeciw naszej ucieczce od 17-tego września szła armia radziecka zastając nas w miejscowości Dolina i ona przesądziła nasz los dalszej tułaczki. Natychmiastowy powrót nie był możliwy. Dwa dni czekaliśmy na wyjaśnienie się sytuacji co dalej robić. Wracać do domu? Tam została matka i dwie starsze siostry. Brat najstarszy był w wojsku i bronił tego kierunku skąd szli Niemcy.

Nie znana też nam była sytuacja gdzie i kiedy spotkają się wojska niemieckie z wojskami radzieckimi i jak się to spotkanie zakończy. Po której stronie znajdzie się nasz dom i rodzina, jeśli po niemieckiej nasz powrót stałby się nie możliwy. Czy w późniejszym czasie można było liczyć na jakies uzgodnienia pomiędzy ZSRR i Niemcami aby uciekinierzy mogli powrócić do swoich domów i rodzin.

Okazało się później, że sprawa została uzgodniona pomiędzy tymi państwami o wiele wcześniej w zawartym pakcie Ribentrop - Mołotow gdzie sprawa Polski została przesądzona a tereny wpływów zostały dokładnie podzielone. Armia hitlerowska cofnęła się na uzgodnioną linię a wojska radzieckie zajęły opuszczone tereny przez Niemców. Takim sposobem miejscowość nasza i nasz dom znalazły się w strefie wpływów armii radzieckiej i nasz powrót stał się możliwy.

Tym razem powrót nasz był nieco spokojniejszy. Nie było nalotów lotniczych, nie słychać było wybuchów bomb i armatnich wystrzałów, drogi były nieco wolniejsze ale wypełnione ruchem wojsk radzieckich.

W czasie powrotu wystąpiły trudności ze zdobyciem żywności i paszy dla konia. Po wioskach przez które wracaliśmy ojciec a także i ja robiliśmy próby zdobycia żywności i paszy na zasadzie kupna lub prosby o darowiznę. W ostatnim dniu września wróciliśmy do domu ku uciechu matki i rodzeństwa. Brata Franciszka nie było jeszcze w domu. Jego jednostka z którą brał udział w walkach obronnych została rozbita a jej żołnierze każdy według swoich umiejętności i możliwości próbowali wyjść z opresji. Po wielu perypetiach w połowie października, skrycie zjawił się w domu ukrywając się przed ewentualnym dostaniem się do niewoli.

Nasze życie rozpoczynało się od nowa nie znając najbliższej przyszłości w nowej sytuacji w braku polskiej państwowości.

- I -

W ślad po wkroczeniu armii radzieckiej na terenach przez nią zajętych organizowano władzę polityczną i administracyjną, naturalnie ukraińską. Polaków do tych władz naogół nie angażowano. Po powrocie z ucieczki przed Niemcami, ojciec, rozpoczął i nadal pracował jako gajowy na starym miejscu z tym, że dostał jako pomocnika ukraińca z sąsiedniej wioski administracyjnie należącej do naszej gminy.

Rodzina nasza składała się z siedmiu osób. Ojciec Piotr i matka Marcela Opałka, brat Franciszek ur. w 1921r, siostry Eżbieta ur. w 1922r Ludwika ur. w 1924r, Marian ur. 1926r i siostra Stefania ur. w 1929r.

Matka zajmowała się gospodarstwem domowym, które było faktycznie źródłem utrzymania naszej rodziny. Pensja miesięczna ojca do września 1939r w wysokości 70 złotych była tylko uzupełnieniem do ogólnych potrzeb tak licznej rodziny.

W Starzawie jak i okolicznych miejscowościach wspólnie zamieszkiwały rodziny polskie i ukraińskie i ich współżycie było raczej poprawne i w okresie do wojennym jak i obecnie. Nic więc nie wskazywało na zbliżającą się ~~tragedię~~ dla wielu rodzin polskich.

tragedia

W dniu 10-tego lutego 1940 roku po północy między 3 a 4-tą godziną rozległy się mocne stukania do drzwi i okien naszego domu z okrzykami nytychmiastowego otworzenia drzwi w języku ukraińskim. Po otworzeniu domu przez ojca, do mieszkania weszło kilka osób przedstawiając się jako przedstawiciele miejscowej władzy. Osoby te nie były nam znane poza jedną kobietą o imieniu Tamara, która do wybuchu wojny udzielała się społecznie w jakiejś ukraińskiej organizacji społeczno - kulturalnej.

Zebrano nas wszystkich w jedno miejsce w kuchni bo była dość obszerna. Jeden z mężczyzn oświadczył nam, że zgodnie z wolą narodu ukraińskiego i zarządzeniem najwyższych władz Związku Radzieckiego zostajemy pozbawieni prawa zamieszkiwania na tutejszym terenie i zostajemy przesiedleni na inny teren.

Wyznaczono nam pół godziny czasu na spakowanie się do wyjścia. Wolno było zabrać tylko osobiste rzeczy mieszczące się w ręcznym bagażu. Rozpacz jaka zapanowała wśród nas, nie dopuszczała myśli jak można nas pozbawić całego życiowego dorobku, zostawić dom, bydło, drób i inne domowe zwierzęta koty i psy oraz całe gospodarstwo i odjechać w nieznane. Nic jednak nie pomogło ani rozpacz ani płacz, wyprowadzono nas na podwórze i załadowano nas na własny wóz z zaprzęgniętym naszym koniem. Ruszyliśmy pod eskortą tych ludzi w kierunku Chyrowa. Na dworze panowała zima, było chłodno i nieprzyjemnie. Dokąd mieliśmy dojechać nie było nam wiadomo.

Po dojechaniu do Chyrowa skierowano nas do stacji kolejowej Posada Chyrowska. Tu załadowano nas do oczekującego transportu kolejowego składającego się z krytych wagonów towarowych po kilka rodzin do jednego wagonu. Transportem tym dojechalismy do Przemyśla, gdzie przeładowano nas do transportu szerokotorowego. Wagony towarowe wyposażone były w prymitywne prycze, piecyk żelazny do ogrzewania i mała kupka opału. W jednym z kątów wagonu był wycięty otwór w podłodze mający służyć jako ubikacja.

W drugim dniu po załadowaniu wszystkich wagonów, transport ochraniany przez wartowników NKWD ruszył w drogę na wschód. Mijały dnie i noce jazdy pełnej trwogi i niepokoju o dalszy nasz los. Byliśmy coraz dalej od swej ojczyzny. Na niektórych stacjach podawano nam coś w rodzaju zupy jarzynowej i po kawałku czarnego chleba. Zupa z nazwy jarzynowa, faktycznie była z kiszonych zielonych pomidorów i nie nadawała się do jedzenia.